

przyspilonych w bibliotecznych zielnikach literatury. To nie świadczy o zerwaniu z tradycją, bo buntować się można tylko przeciw temu, co się zna, z czym trudno się zgodzić. Burzenie tylko wtedy ma sens, jeśli rodzi się jakaś nowa wizja harmonii, jeśli przezuwalny jest jakiś stały ład, na którym można by postawić stopę. Beat Generation odegrało swoją kontestacyjną rolę budując mit „człowieka w drodze” (patrz: Jack Kerouac) zagubionego w chaosie, obsesyjnie poszukującego wartości. Czymś podobnym jest egzystencjalizm. Ta postawa uświadamiająca nam absurd naszego istnienia nie skończyła się. Na szczęście jeszcze trwa.

– Chciałbym Cię zapytać o Twój stosunek do składników legendy Ginsberga, takich jak homoseksualizm, skandale, śpiewanie poezji, charyzmatyczność, narkotyki, buddyzm, zaangażowanie społeczne i polityczne, lewicowość? Czy to wpływało na zainteresowanie Ginsbergiem w Polsce?

– Cóż, Allen Ginsberg był homoseksualistą, robił skandale, nie śpiewał poezji (myślę, że tzw. poezją śpiewaną, to by się zakrzusił), w swoim czasie zażywał narkotyki, uprawiał buddyzm, angażował się społecznie i politycznie, być może lewicowo. Jaki można mieć do tego stosunek? Jako artysta i człowiek szukał prawdy i to poszukiwanie wyrażał i w słowie i w czynie. Czyż można robić coś więcej?

– Co sądzisz na temat dokonania muzycznych Ginsberga z Bobem Dylanem, Paulem McCartney'em czy The Clash?

– Przyznam, że tylko o tym słyszałem, ale podejrzewam, że Ginsberg radził sobie z tym niezłe. On istniał na scenie sam przez się, nie musiał niczego grać. Można powtórzyć za Rilkiem, że „istnienie grał nie myśląc o oklasku”. I to była cecha poetów Beat Generation. Wtedy nikt się nie zastanawiał, nie kalkulował jak to zrobić, żeby się sprzedało. To nie była giełda tematów i form – tam chodziło o życie. Gdyby na scenie w teatrze, pomiędzy aktorami, pojawił się nagle pies, to skończyłoby się przedstawienie, tzn. zaczęłyby się monodram „pies”, z aktorami w tle. I Ginsberg taki był. W teatrze STU jak zagrał na starym amerykańskim, klawiszowym instrumencie i zaśpiewał z towarzyszeniem młodego gitarzysty, to wszyscy natychmiast poczuli się jak na hajcu; promionki (moje ulubione określenie subtelnej, promieniującej energii uczuć i myśli, związane z Mickiewiczem, Zanem, Towarzystwem Filomatów i Filaretów), pulsowały w powietrzu i wchodziły w krew – chciało się żyć. A jego recytacja „Skowytu” sprawiała wrażenie radosnego ataku epilepsji – on fruwał radością istnienia, poprzez ból. Wielkie aktorstwo Treli stanowiło, dla tej erupcji emocji i myśli, zaledwie kulturalne tło. Dzięki Allenowi zrozumiałem, że poezja nie tylko znaczy, ale również brzmi, że istnieje poza intelektem, (choć nim się też posługuje) jako wyzwolony z ciała, nasycony magią, energetyczny hieroglif. Mało kto tak to dzisiaj rozumie i współczesne recenzje to najczęściej kalejdoskop tematów, wykaz tropów poetyckich i meandrów teoretyczno-literackich wokół tego, co autor chciał niby powiedzieć. Do rozumienia i odczuwania poezji potrzebne jest

również muzyczne ucho i świadomość, że język, niezależnie od wyrażanych sensów, kreuje też sam siebie, że nawet najmniejsza głoska odgrywa tu swoją rolę, nie do zastąpienia.

– Czy poznałeś osobiście Ginsberga? Jeśli tak to w jakich okolicznościach i ile razy się spotkaliście? Powiedz, jakie wrażenie wywarł na Tobie i jakie były tematy rozmów?

– Poznałem go w czasie wspomnianej przeze mnie promocji w Teatrze STU. W czasie bankietu zapropnowałem mu wyjazd do Kielc. Tak się złożyło, że za kilka dni miał wystąpić w Warszawie. To była chyba ta przysłowiowa kropka nad „i”, że bez wahania się zgodził. Przy pomocy Wojtka Graniczewskiego z Teatru STU i moich kieleckich przyjaciół, zorganizowałem z dnia na dzień spotkanie w Pałacyku Zielińskich. To było powtórzenie koncertu z Krakowa. Pojawił się też jakiś aktor z monodramem wg „Skowytu” – miotał się i jęczał, Ginsberg aż łapał się za głowę mówiąc do mnie – „to nie tak, to nie tak, po co tyle tego biadolenia”. Jeszcze tego samego dnia wziął udział w całonocnych rozmowach na odbywającym się właśnie seminarium literackim w Cezdynie w dniach 7-8 października 1986 r. Rozmawialiśmy tam o wszystkim, co dotyczy kondycji człowieka, a przede wszystkim interesowała go sytuacja poety w komunistycznym systemie i bardzo się dziwił, że mógł u nas wystąpić. Mówił o etyce, o potrzebie walki o własną prawdę, bez której sztuka jest martwą skorupą... Gościłem go też w domu mojej teściowej na Mąchockiej. Wiedzieliśmy, że jako buddysta nie je mięsa i teściowa Jadwiga z żoną Basią przygotowały mu naleśniki i placki ziemniaczane. Na widok placków zamarł na chwilę i... rozplakał się. Wyznał, że jadł je ostatnio 40 lat temu, a zrobiła je dla niego mama Naomi. Te placki to było dla niego ogromne przeżycie... Po obiedzie poczuł się zmęczony i położył w pokoju na tapczanie. Wydawało mi się, że zasnął i przykryłem go kocem. Wtedy otworzył na moment oczy i wyszeptał: thank you. Kilka lat później napisałem o tym wiersz. Kiedy wyjeżdżał na drugi dzień i żegnaliśmy się koło samochodu, spojrzął na mnie i pocałował mnie w usta. Nie zapomniałem tego pocałunku i wcale się go nie wstydzę.

– W „Miesięczniku Literackim” z 1985 roku ukazała się recenzja książki Ginsberga „Utwory poetyckie” w tłumaczeniu Bogdana Barana. W recenzji Bogusław Jasiński napisał, że „w manifestach i deklaracyjnych wierszach Ginsberga nie zostało dziś nic prócz wątpliwej jakości filozofii podbrzusza” i że „świat Ginsberga rozciąga się między pępkiem a kolanami”. Jak to skomentujesz?

– Nie czytałem tej recenzji, ale właśnie z podbrzusza wypłynęło wiele wspaniałych poematów, a z głowy, na gruncie sztuki, cóż może popłynąć? Chyba, że ktoś ma unikalną moc przemiany wody w wino... Miłosz pisał w którymś ze swoich esejów, że przyszłość poezji jest właśnie we krwi, spermie i innych wydzielinach, bo penetracja tych regionów wymaga wnikliwszego zbadania. A pan profesor Jasiński, cóż, być może stracił tam wrażliwość, ale trudno

winić go za to, bo przecież to nie jego wina.

– Czy – zgodnie ze słowami Piotra Sommera – Twoim zdaniem warto ocalać poezję Ginsberga?

– Poezja Ginsberga ocala się sama.

– Czy chciałbyś coś dodać?

– Tak. Ginsberga spotkałem jeszcze raz. Dokładnie 10 lutego 1993, kiedy na Rynku w księgarni podpisywał świeżo wydaną przez Bibliotekę „Nagłosu”: „Znajomi z tego świata”. Podłożyłem mu książkę do podpisu i spytałem, czy mnie pamięta. Coś kojarzył, ale nie był pewien. Wtedy przypomniałem mu ziemniaczane placki. Rozpromienił się – o, patato pancakes – powtórzył to kilka razy i napisał: With best wishes to / Jadwiga / and happy memories / her Patato Pancakes / in Kielce / for Szczesny Wroński.



Mirosław Pisarkiewicz

Moje wiersze

rozwijają się jak dywan
nieskończoność wzorów prowadzących do...
nikąd
do wnętrza siebie
czyli donikąd
miękki wzorzysty dywan
tańczą na nim panny pomarańczowe
i cienista świadomość
zapomnianej intymności odchodzenia

moje wiersze połamane
samotne jak śmierć

Życie

Moje biedne życie
piętnowane stemplami w dokumentach
i niespełnionymi marzeniami
- jeszcze jesteś
jeszcze bawię się z tobą
w ciuciubabkę
poczekaj moje biedne życie
jeszcze napiszę
ten najpiękniejszy wiersz

Ślady

Zrzuć z siebie zbędne kilogramy strachu
czytałem na plakatach
brutalnie przyciśniętych do ścian
zaciśniętymi wargami szeptałem:
... i gdzie są moje ślady na śniegu